

Kupka popiołu spadła na podłogę.

Mniejsze drobinki momentalnie wzbily się w powietrze, tworząc szarą chmurę, która po kilku sekundach rozmyła się. W biało-szarym pyłe nie było ani cienia pięknego ptaka, którego czerwone, pomarańczowe i złote pióra przykuwały uwagę z daleka. Którego barwy, przypominające zachodzące słońce, zachwycały każdego, kto na niego spojrział.

Kichnęła, kiedy drobinki pyłu dostały się do jej nosa i otuliła się kocem. Było zimno. Może nie obiektywnie, przecież w pokoju chodziło ogrzewanie, jednak było... zimno. Przeszywający chłód wpełzał pod jej skórę, powodując, że zaczynała drżeć. Gęsia skórka pokrywała jej ramiona, a zęby szczękały o siebie głośno. Koc, ciepłe skarpetki czy ogromna bluza nie pomagały – wręcz przeciwnie, wydawały się zamykać mróz bliżej jej ciała. Niemal niesłyszane z początku tykanie zegara w kuchni stawało się tym głośniejsze, im dłużej się w nie wsłuchiwała. Oblizwała usta, mając nadzieję, że da radę nawilżyć spierzchnięte wargi bez wstawania po wodę, jednak jej język również był suchy. Była spragniona i odwodniona, a w ustach dawno nie miała nic, prócz kropli łez, które gdzieś zagubiły się po drodze przez jej policzki. Zamknęła oczy i położyła głowę na kolanach, przytulonych do klatki piersiowej. Nie mogła patrzeć na miejsce, gdzie chwilę temu radośnie skakał Fin.

O tak, zdawała się mówić kupka popiołu, już nadszedł ten czas.

\*\*\*

Wypalanie się nie było regularne. Zależało od pory roku, temperatury, stresu czy zwykłego zmęczenia. Zdarzało się, że życie feniksów trwało kilka lat. Zdarzało się, że trwało tydzień. Podobnie było z ich odradzaniem się. Czasem regeneracja była chwilą, jedną nocą, podczas której popiół z powrotem zamieniał się w pięknego ptaka, jeszcze piękniejszego niż przed wypaleniem. Czasem feniksy nie odradzały się przez wiele lat, a ich przyjaciele czekali na ich odrodzenie przez cały ten czas, pilnie strzegąc marnej kupy popiołu. Nie dało się ich zmusić do odrodzenia się, tak jak nie dało się ich wypalić na siłę. Ptaki były odporne na ogień zewnętrzny. Jedyne co mogło je zabić, były one same.

Feniksów nie dało się mieć na własność. Nie dało się ich zamknąć w klatce, schować przed światem i cieszyć się nimi w odosobnieniu. Już dawno przestano próbować. W zamknięciu feniksy wypalały się, ale nie odradzały – jakby w stanie śmierci czuły, że wciąż nie mogą bezpiecznie wrócić do świata żywych. Feniksy wybierały towarzyszy, czasem wśród ludzi, czasem wśród innych feniksów, wśród smoków, psów, kotów, gryfów, tygrysów, wilków czy jakichkolwiek stworzeń na ziemi. Nie dało się ich przyciągnąć na siłę, lecz jeśli wybrały cię na swojego towarzysza, zostawały z tobą do końca twojego ziemskiego życia. Ufały, że będziesz

strzegł ich w trakcie wypalania, by mogły odrodzić się w pełnej okazałości. Wierzyły, że nie zostawisz ich na pastwę losu.

Wypalanie było ciężkim procesem. Dało się je przewidzieć, lecz nie dało się na niego przygotować. Za każdym razem bolało tak samo. Obserwowanie, jak twój najwierniejszy przyjaciel, przyjaciel, który zaufał ci całym swoim życiem, z dnia na dzień powoli wygasa. Jego pióra, przypominające zachodzące słońce ciemniały, zbliżały swoją barwę do ognia, tak, jakby przewidywały płomień, który w najbliższym czasie miał je pochłonąć. Zamykały się w sobie, przestawały odpowiadać na wołania, nie dawały się dotknąć, przytulić czy pogłaskać. Nie wychodziły ze swoich schronień, nie wylatywały na słońce, nie spotykały się z innymi feniksami. Po prostu... egzystowały. A życie w ich oczach z dnia na dzień stawało się coraz bardziej przyćmione. Aż w końcu wypalały się. W ciszy, bez robienia jakiegokolwiek zamieszania wokół swojej śmierci.

Wypalanie się nie było regularne. Nie było niczyją winą, nikt nie mógł mu zapobiec. Nikt nie mógł się na nie przygotować.

Było jednak nieuniknione.

\*\*\*

Cierpiała razem z nim, a raczej – to on cierpiał razem z nią.

Dni, które dla niej były pełne radości, chęci do działania i wewnętrznej motywacji były dniami, kiedy wyglądał najpiękniej. Jego pióra błyszcząły, kolory wydawały się bardziej żywe, śpiew piękniejszy. Wstawali razem z samego świtu, gotowi podbijać świat. Kiedy ona wypijała kawę, on leciał rozprostować skrzydła. Kiedy ona ubierała buty, on mył się w pobliskim stawie. Kiedy ona szła do pracy, on siedział na jej ramieniu.

Kochała zajmować się smokami. Zawsze myślała, że łączenie pracy z pasją jest głupie. Że pasja kiedyś się kończy, a potem trzeba przychodzić do pracy pamiętając, że kiedyś sprawiała ci tak ogromną przyjemność, a teraz nienawidzisz wstawać z łóżka, wiedząc, że czeka cię kolejny nużący dzień. Jednak smoki towarzyszyły jej od zawsze. Te małe, domowe zamieszkiwały jej dom rodzinny, traktując go jak hotel. Wchodziły, wychodziły, czasem jakiś odlatywał, czasem przyplątywał się nowy. Ich łuski, suche i ciepłe, ogrzewały ją w chłodne noce, gdy spały na jej klatce piersiowej, nie dając jej zmienić pozycji w nocy. Rano budzili ją rodzice narzekający na to, że znowu na którymś meblu pojawiła się wypalona plamka po tym, jak któryś ze smoków kichnął. Lub że któryś z nich zrzucił zabytkowy obrazek stojący na najwyższej półce zamkniętej szafy mimo, że „przysięgam, zamykałam ją wieczorem, nie mam pojęcia jak tam wlaży!”

Smoki górskie niewiele różniły się od domowych. Próbcowały ukrywać swoje przywiązanie do ludzi, pokazując wyniosłość i arogancję, której nie powstydzilyby się rasowe koty, jednak w chłodne noce przybliżały się do swoich opiekunów pilnując, żeby nie było im zimno. Obracały się do nich tyłem, nie dając sobie zbadać zębów czy gruczołów ogniowych, jednak gdy w końcu dały się okiełznać posłusznie otwierały paszczę, uważając, żeby przypadkiem nie zionąć ogniem prosto w twarz opiekuna.

Smoki nie wymagały ciągłej opieki. Były dzikimi zwierzętami, które nie wahały się zabić, kiedy czuły się ograniczane czy zagrożone. Jednak raz na jakiś czas trzeba było sprawdzić, czy ich populacja nie zwiększyła lub nie zmniejszyła się, czy ich kły i łuski są w odpowiednim stanie, czy ich pazury nie przeszkadzają im w chodzeniu i czy ich gruczoły ogniowe są w odpowiednim stanie. Bezbronny smok to martwy smok.

Jej praca była przyjemna.

Wstać rano. Spakować plecak na kolejne 5 dni. Iść w góry do jednego z 20 najbliższych położonych siedlisk. Zostać tam na kilka dni, żeby w pełni sprawdzić stan zdrowia jaszczura. Wrócić do domu. Przepakować plecak. Iść do kolejnego miejsca. Raz na jakiś czas dostawała zlecenie na oswojenie nowego smoka. Takie spotkania zwykle kończyły się mnóstwem oparzeń, zadrapań, zniszczonych ciuchów i walki o swoje życie. Takie spotkania zwykle dawały największą satysfakcję.

Po jakimś czasie smoki zaczynały znosić jej towarzystwo. Ignorowały ją, jednak nie protestowały, gdy sprawdzała ich stan. Po kilku tygodniach zaczynały ją akceptować. Po kilku miesiącach zostawiały ją samą w siedlisku gdy leciały na polowanie. Po kilku latach pozwalały jej ogrzać się przy ich ognisku czy dotknąć ich młodych.

Smoki lubiły rutynę. Dlatego nie mogła pozwolić sobie na nawet kilka dni przerwy.

Lniana sakiewka, w której zawsze przechowywała prochy feniksa leżała przygotowana na półce. Czekala aż do wschodu słońca, żeby wreszcie zmusić się do wstania i zebrania ich. Udało jej się powstrzymać szloch podczas całego procesu i rozplakała się dopiero, kiedy zawiązana torebeczka wisiała bezpiecznie na jej szyi. Dawniej, gdy wychodziła, próbowała zostawiać ją w domu, żeby nie zgubić jej po drodze, jednak to wydawało się... dziwne. Niepokojące. Sprawiało, że nie mogła się skupić, ciągle myśląc o sakiewce leżącej w domu.

Siedlisko do którego szła dzisiaj było jednym z tych, które odwiedzała od kilku lat. Nie musiała się stroić czy specjalnie przygotowywać. Część ubrań zaczęła zostawiać w jaskini, więc nie musiała brać ich tak wiele. Chwyciła butelkę wody, kilka batonów proteinowych i najważniejsze przedmioty. Wizja zjedzenia czegokolwiek innego powodowała u niej odruch wymiotny.

Droga dłużyła jej się bardziej niż normalnie. Każdy krok był mordercą, do każdego ruchu musiała się dosłownie zmuszać. Zatrzymywała się częściej niż zwykle, walcząc z chęcią położenia się na środku drogi i zwinięcia się w kłębek. Kiedy wreszcie dotarła do jaskini był już wieczór. Smok leżał na środku, z pyskiem podpartym na przednich łapach i patrzył na nią ze zdziwieniem i zmartwieniem. Podniósł łeb i przechylił go lekko w bok, tak jakby pytał się czy wszystko w porządku. Nie wytrzymała. Rzuciła plecak na ziemię i w dwóch krokach znalazła się przy nim, przytulając się do jego ciepłego cielska. Stworzenie oparło ciężki łeb na jej ramieniu i po chwili poczuła, jak jego łuski nagrzewają się odrobinę bardziej. Pod palcami czuła, że jego krew zaczęła płynąć szybciej, docierając do gruczołów ogniowych i zmieniając się w gorąc, którym ogrzewał swoje ciało.

- Dziękuję. – wyszeptała, gdy łzy przestały płynąć tak obficie. Oparła czoło o łuski smoka, a on pociągnął wargami za jeden z jej rudych kosmyków. Zaśmiała się słabo i odsunęła się o kilka kroków. Otarła policzki rękawem i uśmiechnęła się delikatnie. – to co? Zabieramy się do roboty?

Widząc naburmuszoną minę stworzenia, które właśnie obracało się do niej tyłem, zaśmiała się głośno.

- Tak chcesz się bawić? Czekaj aż cię złapię! – Zaśmiała się, próbując podejść zwierzę od drugiej strony. Chodzenie cicho nie zadziałało, tak samo bieganie, więc została jej tylko jedna opcja. Podbiegła kilka kroków i udała, że się wywraca. Smok natychmiastowo obrócił się w jej stronę, pochylając łeb, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Chwyciła mocno jego pysk, uśmiechając się. – Mam cię.

Ignorując niezadowolone spojrzenie smoka zaczęła swoje rutynową kontrolę, jednak po odhaczeniu dwóch punktów musiała przestać. W jaskini robiło się coraz ciemniej, a powietrze zaczęło się ochładzać. Zadrżała z zimna, rozglądając się za kątem, gdzie były pochowane jej rzeczy. Smok obrócił się w stronę wyjścia i odleciał. Westchnęła głęboko i osunęła się o podłogę, opierając się o chłodną skałę ściany jaskini. Wyciągnęła sakiewkę spod koszulki i wpatrzyła się w nią pozwalając, by cały smutek, który wyblakł na kilka chwil powrócił z całą mocą. Kiedy kilka chwil później smok powrócił z kilkoma gałęziami w paszczy, nawet nie próbowała pomóc mu w przygotowaniu ogniska.

Feniks był słońcem. Tak długo, jak żył, wszystko wydawało się kolorowe. Świat był jaśniejszy, kolory były bardziej żywe, wstawanie z łóżka nie sprawiało problemu, dzień był na tyle wspaniały, że wieczorem nie chciało się iść spać.

W szarym pokoju oczy przyzwyczajają się do szarości. Nie próbują jej rozjaśnić, jednak widzą, że nie jest taka ciemna, jak mogłaby być. Gdy jednak w szarym pokoju zapalimy jasne światło,

a następnie zgasimy je bez uprzedzenia, pokój wydaje się czarny. Oczy na nowo muszą przyzwyczać się do szarości.

Musiała przyzwyczać się do życia bez swojego słońca.

\*\*\*

Kolejne dni pomogły jej wpaść w tak długo oczekiwaną rutynę. Znajdowała sobie kolejne zajęcia starając się nie myśleć o tęsknocie, wracała do domu na tyle zmęczona, żeby nie paść na łóżko bez kręcenia się i rozmyślenia. Rano wstawała na tyle wcześnie, żeby zmęczenie i niewyspanie zmuszały ją do myślenia tylko o najważniejszych rzeczach. Wszystkie czynności wykonywała odruchowo, niczym dobrze zaprogramowany robot. Przebierając się robiła wszystko, żeby nie patrzeć na sakiewkę wiszącą na jej szyi. Robiła wszystko, żeby pozwolić sobie przyzwyczać się do smutku i tęsknoty, nie zwracając na nie uwagi.

Wstawała rano, szła do kolejnego z siedlisk, robotę wykonywała jak najszybciej, nie zostając w jaskini ani dzień dłużej, niż było to konieczne. Zaoszczędzone dni spędzała biorąc dodatkowe zlecenia, czerpiąc swego rodzaju satysfakcję z ran i oparzeń coraz liczniej pojawiających się na jej skórze. Wracała do domu często nie mając siły wziąć prysznic przed rzućeniem się na łóżko, zasypiając jeszcze zanim jej głowa uderzyła o poduszkę.

Po trzech tygodniach była na tyle zmęczona, że nie wstała do pracy. Przespała poranny alarm i obudziła się dopiero późnym popołudniem. Zignorowała oburzone spojrzenie, które posłał jej smok, gdy wpadła spóźniona o kilka godzin do jego jaskini, całkowicie nie przygotowana.

„Już czas” Pomyślała, gdy tylko wróciła do domu kilka dni później. Wyciągnęła sakiewkę, patrząc na nią po raz pierwszy od tak wielu dni. „Przepraszam, że tyle mi to zajęło.”

Odmówiła następnego zlecenia. Jej przełożeni nie zadawali pytań, jednak w ich milczeniu można było wyczytać więcej niż tysiąc słów. Następne dni spędziła doprowadzając się do porządku. Wyłączyła muzykę, której słuchała ostatnie kilka dni, wreszcie pozwalając swoim myślom płynąć swobodnie. Porządnie odkaziła wszystkie rany, opatrując je najlepiej jak potrafiła. Dokładnie umyła włosy, nałożyła krem na twarz. Po raz pierwszy od ponad miesiąca nałożyła delikatny makijaż.

Smutek nie minął. Tęsknota nie stała się mniejsza niż pierwszego dnia. Te uczucia wciąż były. Teraz jednak na nowo nauczyła się z nimi żyć. Jej oczy przyzwyczyły się do szarego pokoju.

Wyczuwając zmianę w jej zachowaniu, smoki również stały się spokojniejsze wokół niej. Witwały ją wesołym pomrukiem, pozwalając jej wykonywać swoją robotę. Wciąż obracały się do niej tyłem, wciąż nie dawały się sprawdzać bez prób protestu, jednak teraz ją to bawiło, zamiast wywoływać u niej łez irytacji.

Szary pokój już nie był czarny.

\*\*\*

Odrodzenie nastąpiło z dnia na dzień. Nie było poprzedzone żadnymi znakami. Nie było żadnego trzęsienia ziemi, piorunów uderzających z nieba ani fajerwerków. Pewnego dnia po prostu otworzyła oczy i on tam był. Siedział na oparciu łóżka, wydając z siebie wesoły śpiew. Oparła się o ścianę, a on podleciał na jej ramię. I znowu wszystko było w porządku. Wstawali razem z samego świtu, gotowi podbijać świat. Kiedy ona wypijała kawę, on leciał rozprostować skrzydła. Kiedy ona ubierała buty, on mył się w pobliskim stawie. Kiedy ona szła do pracy, on siedział na jej ramieniu.

Nie wiedziała, czy życie jest łatwiejsze dlatego, że on przybył, czy życie stało się łatwiejsze, a on przybył w tym samym czasie. Niezbyt ją to obchodziło. Motywacja, którą odnalazła w Finie, którą odnalazła w sobie, była motywacją, która na nowo pchnęła ją do działania. Wykonywała dokładnie te same czynności co wcześniej, jednak wydawało się, jakby prowadziła kompletnie inne życie.

- Dzień dobry! – rzuciła, cała spocona i czerwona, kiedy wbiegła do jaskini smoka. Wyruszyła o tej samej porze co trzy miesiące temu, jednak tym razem zamiast wieczorem, dotarła na miejsce w dwie godziny. Smok otworzył jedno oko, a jego jaskrawoniebieskie łuski zamigotały w popołudniowym słońcu, kiedy wstał się przywitać. Zerknął na nią ze zdziwieniem, widząc jej szeroki uśmiech, jednak sekundę później przymknął oczy, kiedy na jej ramie podleciał Fin. Obróciła się w stronę ptaka, szczerząc się z dumą. – Wygrałam.

Ptak zignorował ją, udając, że myje sobie skrzydło, a ona machnęła głową, uderzając go delikatnie swoim rudym kucykiem. Spojrzał na nią oburzony i zaskrzeczał, wzbijając się do lotu i lądując na czubku głowy smoka. Wyrwał jedno pióro i położył mu na łbie, odlatując gdy tylko stworzenie chciało zionąć w niego ogniem. Zaśmiała się, widząc zachowanie obu zwierząt. Wiedziała jednak, jak cenne są pióra feniksów. Dane dobrowolnie zapewniały ochronę i pomagały szybciej leczyć rany. Pióro, które teraz otrzymał smok było podziękowaniem za to, że zajął się nią pierwsze dni po Wypaleniu. Posłała całusa w stronę ptaka i kucnęła, żeby wyciągnąć cały potrzebny sprzęt.

Kolejne miesiące były najlepszymi, jakie przeżyła kiedykolwiek. Pracowała razem z Finem. Gdy tylko kończyła pracę i miała kilka dni zapasu, jechali razem na jakąś przygodę. Chodzili po górach, zwiedzali zabytki i kąpali się w przeróżnych strumieniach, rzekach i jeziorach. Odmawiała większości zleceń, bo to były jedyne miejsca, gdzie nie mogła chodzić z Finem. Feniksy nie były zbyt mile widziane przez smoki, a zwłaszcza w tak stresujących dla nich sytuacjach jak kontakt z człowiekiem. Kiedy jednak wracała z tych zleceń, które musiała

przyjąc, zmęczona i zadrapana, on zawsze na nią czekał. Podlatywał gdy siadała na fotelu i leczył jej rany swoimi łzami. Chwytał dziobem piżamę, kiedy nie miała siły po nią wstać i śpiewał tak długo, aż nie poszła wziąć sobie szklanki wody. Pilnował, żeby dobrze się odżywiła i była nawodniona. Wyganiał ją z domu raz na jakiś czas, żeby całkowicie nie zdziczała wśród samych zwierząt. Odwiedzała rodzinę, odnowiła kontakt z wieloma przyjaciółmi, których dawno nie widziała.

Aż nadeszła ta chwila.

\*\*\*

Kupka popiołu spadła na podłogę.

Mniejsze drobinki momentalnie wzbily się w powietrze, tworząc szarą chmurę, która po kilku sekundach rozmyła się. W białoszarym pyłe nie było ani cienia pięknego ptaka, którego czerwone, pomarańczowe i złote pióra przykuwały uwagę z daleka. Którego barwy zachodzącego słońca zachwycały każdego, kto na niego spojrział.

Znowu było tak strasznie zimno. Nie wiedziała, czy mróz panował wszędzie wokół niej czy pochodził z jej wnętrza, jednak było... zimno. Przeszywający chłód wpełzał pod jej skórę, powodując, że zaczynała drżeć. Gęsia skórka pokrywała jej ramiona, a zęby szczękały o siebie głośno. Oblizła usta, mając nadzieję, że da radę nawilżyć spierzchnięte wargi bez wstawania po wodę, jednak jej język również był suchy. Była spragniona i odwodniona, a w ustach dawno nie miała nic, prócz kropli łez, które gdzieś zagubiły się po drodze przez jej policzki. Jej feniks nie miał siły, żeby dbać o to, by była nawodniona, a ona zostawiała swoje zdrowie na ostatnim miejscu, wołając skupić się na ostatnich chwilach z nim. Zamknęła oczy i położyła głowę na kolanach, przytulonych do klatki piersiowej. Nie mogła patrzeć na miejsce, gdzie chwilę temu radośnie skakał Fin.

O tak, zdawała się mówić kupka popiołu. Cykl musi trwać.